

FACET
NIE
DO
WZIĘCIA



ZOFIA TARAJŁO-LIPOWSKA

Zofia Tarajło-Lipowska

FACET NIE DO WZIĘCIA

© Copyright by Zofia Tarajło-Lipowska & e-bookowo

Projekt okładki: Weronika Fronia

Korekta: Anna Kurzyca

Skład: Ilona Dobijańska

Tekst opracowali studenci Instytutu Informacji Naukowej i Bibliotekoznawstwa UWr w ramach zajęć „Jak wydać własną książkę” w roku akademickim 2017/2018.

ISBN: 978-83-8166-030-3

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości bez zgody wydawcy zabronione.

Wydanie I 2019

[Kup książkę](#)

*Faceci dzielą się na tych, którzy swe żony o wszystko obwiniają,
i tych, którzy ze wszystkiego je usprawiedliwiają. Pilnym zadaniem
dla literatury stało się udowodnienie, że kobiety też tak potrafią.*

I. Po pierwsze uszczypliwości

Mój Facet i ja ulokowaliśmy się na miesiąc w pewnym niemieckim akademiku, pochodzącym jeszcze z czasów podziału niemieckiego narodu na wschodni i zachodni (tutaj chodzi o wschodni). Nie ma niestety z kim pogadać, niekoniecznie z powodu nieznamości obcego języka, który jako tako znamy, choć można tu przypomnieć, że słowo „niemiecki” pochodzi od niemoty, rozmówcy naturalnie. Nie ma do kogo ust otworzyć, nikt bowiem nie widzi powodu, żeby je do nas otwierał. Tylko pewien czarnoskóry student, spotykany we wspólnej kuchni, zagaduje nas płynną niemczyzną – potakujemy więc, rozmowa nieco się rozkręca, ale kiedy w nagłym niezrozumieniu milkniemy z zażenowaniem, nasz rozmówca wydaje się zaskoczony. Jak to że my, niebieskoocy i jasnowłosi, możemy nie rozumieć po niemiecku?

Za oknem jest „inteligencja na budowie” (tak sobie dla czystej uciechy tłumaczymy wielki napis na betoniarce „Intelligenz am Bau”), a ta „inteligencja” buduje dom wariatów. Na korytarzu śmierdzą czyjeś przepocone buty, które okazały się czarną zupą gotowaną na palniku przez sąsiadkę zza ściany, Azjatkę. Sąsiadka okazała się uprzejma i pożyczyła nam naczynia, kiedy krewni do nas przejazdem wpadli.

Na ogół jednak siedzę w akademiku sama. Jest chłodny kwiecień, drapie mnie w gardle i miewam stany podgorączkowe. Facet codziennie chodzi na uczelnię, żeby poduczyć się czegoś lub nauczyć kogoś. Jak wraca, robimy sobie obiadową kolację we wspólnej kuchni, obok podśpiewującego czarnoskórego studenta, a potem Facet usiłuje przeczytać niemieckie gazety, których plik codziennie leży w holu akademika.

Ale przede wszystkim się kłócimy, kłócimy się szaleńczo, obłędnie i zapamiętałe. Codziennie wieczorem w wiszącym na korytarzu rozkładzie jazdy sprawdzam, jakie mam kolejowe połączenie do domu. Pewnego wieczoru oświadczam, że niniejszym zostawiam tu Faceta razem z jego stypendium i samochodem, a ja wracam do domu pociągiem. Solo.

Pakuje swoje torby, a Facet przez chwilę przygląda się temu bezradnie... i nagle ściąga z szafy swoje.

– Pojedziemy razem – mówi.

Czuję ciepło w głowie, potem ciepło koło serca, siadam na byle jak posłanym łóżku i chwilę tak siedzę, płacząc nad swoim szczęściem-nieszczęściem. Rezygnuję na razie z buntu i zaczynam się rozpakowywać.

Na drugi dzień, zamiast wstukiwać do laptopa jakieś mało pilne tłumaczenie, postanawiam napisać coś o Facecie. Jaki on naprawdę jest, ten mój Facet. Bohater mojej pisaniny wraca wieczorem, czyta, co napisałam, i zaśmiewa się z tego. Trochę mu to pochlebia, trochę go irytuje.

– Tylko żebyś nikomu tego nie pokazywała – mówi.

Codziennie jednak domaga się dalszego ciągu.

Ustala się rytuał. O siódmej rano Facet wstaje, rozsuwa brudne zasłony w oknie, a ja ze swego posłania pytam:

– Czy inteligencja już przyszła na budowę?

Przez chwilę obserwujemy robotników kręcących się tu i tam

w białych ogrodniczkach pod dużym napisem „Inteligenz am Bau”, podziwiając postępy w budowaniu domu dla wariatów, jak głosi przypięta do słupa tabliczka. Ponoć budynek będzie kłamrą łączącą nasz akademik z pobliskim przedszkolem, dzięki czemu stan zdrowia lokatorów się poprawi. Potem chwilę medytujemy nad innymi trafnymi symbiozami urbanistycznymi w tym mieście, na przykład naprzeciw cmentarza jest przytułek dla ludzi starych i chorych...

Praktyczni są ci Niemcy, nie ma co!

Po skromnym śniadaniu na prowizorycznym biurku Facet wyrusza samochodem do centrum miasta, ja zaś zabieram się do rejestrowania na piśmie jego grzechów. Urozmaicam to sobie krótkim wyjściem do pobliskiego sklepu. Po powrocie Facet niecierpliwie rwie się do komputera i łapczywie czyta, co o nim napisałam, a ja tymczasem pędzę do wspólnej kuchni, stając ramię w ramię z wesółym czarnoskórym studentem (nie piszę „Murzyn”, bo to politycznie niepoprawne) i mieszamy, ile sił, każde w swojej patelni.

Temperatura rodzinnych starć znacznie spadła, ja wyżywam się bowiem w pisaniu, a Facet pod wpływem czytania tego, co napisałam, wyraźnie się temperuje.

Papier zniesie wszystko. Ludzie, niestety, nie.

Mój Facet jest całkiem fajnym facetem, choć życie z nim nie jest łatwe, co przyzna każdy, kto przeczyta te zapiski do końca. Facet nie pije, nie pali, najchętniej siedzi w domu, nie biega za innymi paniami, aczkolwiek zdarza mu się nimi zachwycać:

– Popatrz, ta trzecia z lewej, całkiem zresztą niebrzydka, jest zupełnie podobna do Jowitki, no tej, wiesz której... – rzuca w trakcie oglądania interesującego nas programu telewizyjnego. – A ta spikerka to wypisz wymaluj Ania Kowalska.

– Coś ty, żadna nie jest podobna, bo Jowitka ma z przodu wystające ząbki, a Ania maluje się i obwiesza świecidełkami jak choinka na Boże Narodzenie – warczę. – Ta pani byłaby nawet niezła, gdyby

nie to, że taka chuda. Jakby się rozebrała, nic by z niej nie zostało.

Facet wcale mnie nie słucha, tylko przygląda się z zainteresowaniem, jak modelka w reklamie wierci pupą dziurę w ekranie. Dołączam się do jego zagapienia, bo intryguje mnie, czy to reklama nowych dżinsów, czy też idealnie przylegających podpasek, które w tym sezonie powinno się nosić razem z dżinsami. Patrząc w ekran jak zahipnotyzowany, Facet poklepuje mnie po demonstrowanej tam części ciała. Nie mam na sobie obcisłych dżinsów, tylko rozciągniętą spódnicę z ciepłego trykotu typu „na po domu”.

W następnej reklamie modelka zamiata ekran z tamtej strony falą rozpuszczonych włosów, a Facet, nie spuszczać z niej wzroku, stara się nawiązać dotykowy kontakt z grzywą moich włosów, ale napotyka plastikowe lokówki. Wzdycha ciężko, ale nie traci animuszu.

– Jutro urządzimy sobie ładny wieczór – mówi pocieszająco.

Na drugi dzień wkładam czerwony, koronkowy komplet bieliźny i spódnicę mini, dyskretnie się perfumuję i rozczesuję włosy.

– Zrobię pyszne kanapki – zapowiadam, co Facet przyjmuje z żywym entuzjazmem, obiecując postarać się o dalsze akcesoria, takie jak świeca, wino i odpowiedni nastrój.

Kiedy jednak wkraczam z tacą do pokoju, okazuje się, że w telewizji jest właśnie francuski film psychologiczny, więc Facet zapomniał o naszej umowie, a nawet o bożym świecie. Nie życzy sobie, żebym przerywała mu śledzenie wątku, choć kanapki przyjmuje w wdzięcznością i wrzuca je w siebie jedną po drugiej, nie zwracając uwagi na ich kunsztowną konstrukcję i smakową kompozycję. Tym razem to ja ciężko wzdycham, koronki zastępuję trykotem nocnym w kolorze sztucznie barwionych landrynek, włosy znów nawijam na wałki i kładę się do łóżka z obojętnym kryminałem.

Już na początku naszego małżeństwa odkryłam u Faceta nieumiejętność podzielenia uwagi na dwie różne sprawy, podczas gdy moje zdolności w tej mierze zawsze napawały go podziwem.

Ówczesne nasze mieszkanie było mniejsze, przy posiłkach nie można było gapić się na telewizję, chyba że skreśliło się głowę mocno w bok, jednocześnie ją przekrzywiając. Facet podjadał parę kęsów z talerza, a potem zastygał nad talerzem z widelcem w ręku i z głową wykręconą tak, by móc śledzić ekran. Ja tymczasem zjadałam swoją porcję, a następnie wybierałam co smakowitsze kawałki z jego talerza. Na koniec z rozpędu wyjadałam mu całą resztę.

Po obejrzeniu interesującego go programu lub jego fragmentu Facet wracał do rzeczywistości i do posiłku, ale stwierdziwszy, że nic mu na talerzu nie zostało, wyciągał wniosek, że wszystko już zjadł. Żał mi się go robiło, więc łaskawie oferowałam dokładkę, którą konsumował, klepiąc się po brzuchu i twierdząc samokrytycznie, że strasznym jest obżartuchem, skoro zjadł aż dwie porcje.

Jednoczesne spożycie posiłku z Facetem jest najczęściej nie lada sztuką.

– Obiad za pięć minut – mówię.

Za pięć minut kładę pełne talerze na stół, a tymczasem Facet idzie do łazienki, myje się, czesze, ogląda zęby, czyści nos, co zabiera mu mniej więcej kwadrans, wreszcie wyświeżony wkracza do pokoju, kiedy ja już dojadam ostatni kęs.

– Twoje jest już zimne – konstatuje z fałszywą troską. – Może ci podgrzać w kuchence mikrofalowej?

– Ja lubię zimne. Będziemy razem jedli, prawda? – pyta z nadzieją w głosie, choć mój talerz jest już pusty. Z wyrzutami sumienia (przecież nieustannie się odchudzam!) dobieram sobie małą porcyjkę i jemy w milczeniu.

– Nie masz apetytu? A może zła jesteś? – dowiadyuje się Facet.

– Ja zła? Ale skąd! – zaprzeczam nieszczerze.

Dużo czasu zabiera Facetowi jakiegokolwiek ukazanie się publiczne, na przykład wyjście do pobliskiego sklepu. Bezpośrednio

przedtem Facet jeszcze raz splukuje widoczne części ciała, następnie czyści buty, choćby nie były brudne, dobiera i wkłada świeżą koszulę oraz konsultuje ze mną, czy aby na pewno może wyjść w domowych dzinsach, całkiem zresztą przyzwoitych, czy nie powinien raczej włożyć spodni wyjściowych. Następnie głośno ćwiczy zapamiętanie celu wyprawy, zagadując mnie trzy do pięciu razy. Za każdym razem żąda przytaknięcia i pochwały za dobre opanowanie materiału. Życzy sobie przy tym, aby cel, czyli cel wyprawy na zakupy był jeden (ewentualnie dwa, ale wtedy on nie gwarantuje osiągnięcia obu – będzie o tym mowa dalej). Następnie jeszcze raz udaje się do łazienki, aby na świeżo przemyć sfatygowane tą rozmową części ciała. Wyrusza wreszcie do sklepiu odległego mniej więcej sto metrów, demonstrując po drodze swoje wyświeżenie i błyszczące buty wyłącznie staruszkowi z laską, piwoszowi rozwalonemu na ławce i dziecku z ciastkiem w buzi, nie licząc oczywiście ponurej, tłustej i wiecznie spoconej pani ekspedientki, której z definicji żaden klient się nie podoba, choćby nawet świeżo wymyty i elegancki. Podejrzewam, że woli nawet brudnego piwosza, bo ten przynajmniej zwróci się do niej z rubasznym żartem, dzięki czemu ekspedientka poczuje się kobietą, a nie bezpłciowym dysponentem dóbr, za którego Facet ją uważa, stosownie do jej nieapetycznego wyglądu oraz zgodnie ze swą uporządkowaną wizją świata.

Po powrocie Facet zapada na dłuższą chwilę w łazience, aby po tej wyprawie się odświeżyć, oraz domaga się ode mnie pochwał, podziękowań i komplementów za to, że kupił, co kupił, niezależnie od tego, czy utrafił w cel eskapady, czy bynajmniej nie.

Mój Facet jest czystochem do ósmej potęgi, a i tak nie jestem pewna, czy wybrałam współczynnik dostatecznie duży. Nasze wspólne wyjście z domu wygląda tak, że ja szykuję siebie oraz inne potrzebne nam rzeczy, natomiast Facet zajmuje się swoim ciałem i ubiorem (patrz: opisany już ceremoniał i pomnóż to przez trzy). Tuż przed opuszczeniem domu, kiedy ja, gotowa, stoję przy

drzwiach, Facet jeszcze raz gwałtownie rusza do łazienki, nie z pilnej potrzeby fizjologicznej, ale z powodów psychologicznych, czyli dla szybkiego umycia twarzy, szyi, uszu i rąk oraz sprawdzenia w lustrze efektu tych zabiegów. Po powrocie do domu jak burza pędzi do łazienki i wykonuje to samo pięć razy dokładnie. Myciem reaguje na stresy, myje się w trakcie (ewentualnych!) domowych prac fizycznych, zaraz po zauważeniu, że się spocił.

Kiedyś na przykład wynosiliśmy z domu stary, sfatygowany już dywan. Facet nagle upuścił koniec dywanu i oświadczył, że musi się umyć – jak zwykle, twarz, ręce, szyję, oboje uszu – zaraz potem wróci i transport dokończymy. Zaproponowałam, żeby się umył dopiero po spoczęciu dywanu w samochodzie, ale on czuł tak nieodpartą potrzebę natychmiastowej odnowy wodnej, że musiałam zostać ze zwiniętym końcem dywanu w rękach i poczekać, aż wróci z łazienki.

Każda nasza wspólna czynność czy przedsięwzięcie jest wydłużone o regularne wyprawy Faceta do łazienki, w czasie których ja z rezygnacją czekam na jego powrót.

Łazienka jest dla Faceta bóstwem i ideałem – myślę, że w razie czego zrezygnowałby raczej ze mnie (pocieszam się, że ze szczerym żalem) niż z niej. Kiedy wracam do domu, a Facet według moich obliczeń powinien już tam być, jestem pewna, że zastanę go w łazience.

Najbardziej Faceta gorszą filmy, w których bohaterowie wybierają się do łóżka (wszystko jedno, czy razem, czy oddzielnie) i ściągnąwszyienne ubrania, ewentualnie włożywszy zamiast nich bieliznę nocną, bezceremonialnie włożą pod kołdrę.

– A dlaczego nie byli w łazience? – dziwi się Facet.

Wyjaśniam mu, że to taki umowny skrót filmowy, cięcie montażowe, bo wszyscy oczywiście wiedzą, że bohaterowie w łazience byli i dokładnie się wyszorowali, ale tę scenę się opuszcza, bo film byłby za długi. Facet nie dowierza i proponuje wyłączenie telewizora, bo film go rozczarował.

Jeśli akcja filmu czy reportażu toczy się gdzieś w głuszy, w zbuntowanej wiosce palestyńskiej, na pustyni, na biegunie czy na bezludnej wyspie, Facet żywi głębokie przeświadczenie, że demonstrowana tam rzeczywistość obejmuje stosowną łazienkę, sprytnie za ekranem schowaną, „bo inaczej jak by oni tam wytrzymali?”.

Pojechaliśmy kiedyś na wakacje do gratisowo użyczonej nam chałupy blisko dużego europejskiego jeziora (zdradźmy zresztą, że chodzi o Balaton), która niestety łazienki nie posiadała, ale umyć się można było w misce z ciepłą wodą, zrobić prysznic z wiadra na przyległej łączce, schowanej przed ciekawskimi, a dla wykończenia toalety wymoczyć się w jeziorze. Facet jednak tak cierpiał, tak cierpiał..., taki był nieszczęśliwy, że po paru dniach musieliśmy opuścić, niestety, to przyjemne i gościnne miejsce. Odtąd wszelkie propozycje urlopowych wyjazdów Facet przyjmuje pod warunkiem, że w pobliżu będzie oddana mu w użytkowanie łazienka.

Kiedy jedziemy na wycieczkę, w czasie której łazienka jest dobrem wspólnym całej wycieczkowej grupy, to podstawową troską Faceta staje się skorzystanie z niej przed innymi dzięki dostatecznie wczesnemu zerwaniu się z łóżka. Pamiętam, jak po jakimś bogatym i męczącym dniu wycieczkowym obudził mnie wpół do piątej rano, oznajmiając dramatycznym szeptem, że łazienka jest wolna, więc możemy iść pod prysznic. Był szczerze zdziwiony, że chcę pospać jeszcze trochę, ryzykując, że będzie kolejka i pospiech.

Marzeniem mojego Faceta jest przebudowa naszego mieszkania (na którą oczywiście nas nie stać), żeby łazienka była tak wielka, iżby mógł w niej spędzać życie – również spać – a w trakcie nocnego wypoczynku przez sen podstawiać pod prysznic nieświeże już od godziny części ciała. Na razie musi kilka razy w nocy wstać z łóżka i defilować do łazienki, żeby utrzymać ciągłość ablucji.

Nie powiem, żebym była brudasem, ale mnie całkowicie wy-

starczy mycie się w podstawowych ilościach, zalecanych zresztą przez higienistów. Wyjaśniam to Facetowi, a on patrzy na mnie z lekką wyższością i łaskawym pobłażaniem, jak na kotkę Filusię, która siusia do kuwety ze żwirkiem zamiast do muszli klozetowej.

Wydawaloby się zatem, że Facet jest człowiekiem wyjątkowo skrupulatnym i pedantycznym, ale z innych względów jest to tylko złudzenie, co udowodnię później. Facet owszem, nie lubi się spóźniać. Nasza dentystka na przykład tak go pod tym względem wyszkoliła, że bardziej niż wiercenia w zębie boi się spóźnienia na wizytę. Czuje się odpowiedzialny również za moją punktualność (choć rzadko czuje się za mnie odpowiedzialny). Kiedy wybieram się do dentystki, od wczesnych godzin rannych przypomina, żebym tam dotarła na czas. Po raz setny przywołuje negatywny przykład szwagra, którego kiedyś w ramach przysługi umówiliśmy z dentystką, a on odważył się spóźnić. Mniej więcej dwie godziny przed terminem mojej wizyty zaczyna pochrząkiwać i ostentacyjnie sprawdzać, która to godzina, głośno mi ją meldując. Niby przypadkiem wspomina o korkach ulicznych, które zwykły się tworzyć o tej właśnie porze. W końcu wychodzę dla świętego spokoju, choć krew mi się burzy i dla udowodnienia, że nie dam sobie jeździć po głowie, chętnie bym tę wizytę odwołała.

Fryzjerka, u której Facet się strzyże, nie zapisuje klientów na godziny, ale punktem honoru Faceta jest bycie jej pierwszym klientem. Wstaje odpowiednio wcześnie, myje się specjalnie pieczołowicie, aby strzygąca go na jeża pani czuła tylko sztuczny zapach dezodorantów, zabezpiecza swoją świeżość rozlicznymi innymi sprejami i ustawia się przed zakładem fryzjerskim piętnaście minut przed jego otwarciem. Wśród fryzjerek słynie jako klient „z wyższej półki”.

Na wizyty Facet przychodzi również z zegarkową punktualnością, jeśli w ogóle uda się go wyciągnąć, i tego samego – zupeł-

nie otwarcie – wymagałby od naszych gości, ale tu wkraczam ja i nie pozwalam mu na to.

A więc przynajmniej przede mną odgrywa swoją pantomimę specjalną: dokładnie o umówionej godzinie staje przy drzwiach, wpatrując się w cyferblat zegarka, wygląda przez dziurkę od klucza, gestem ręki daje sygnał startu i otwiera drzwi, wystawiając głowę na zewnątrz oraz z niedowierzaniem i zdziwieniem przyjmując fakt, że nikogo z gości pod drzwiami jeszcze nie ma. Jest to stały rytuał, którego ofiarą jestem oczywiście ja, jako odpowiedzialna za cały świat, a więc także za postępowanie innych ludzi, jeśli owo postępowanie kłóci się z wyobrażeniami Faceta.

Kiedyś zdarzyło się, że gość (oczywiście innej niż polska narodowości) zadzwonił do drzwi z półminutowym tylko spóźnieniem, co Facet z zachwytem odnotował, choć zapewne te pół minuty i tak obniżyło temperaturę tego zachwyty. Od tego czasu Facet tego pana szalenie lubi – cokolwiek by nie całkiem mądrego zrobił czy powiedział – Facet zawsze jak lew broni jego stanowiska.

Opisany wyżej pedantyzm Faceta dotyczy, jak wspominałam, tylko wybranych kwestii i nie obejmuje wszystkich przypadków jego zachowania. Bardzo lekkomyślne jest powierzenie Facetowi jakiegoś odpowiedzialnego zadania, na przykład kupienia potrzebnych w domu produktów. Od czasu do czasu popełniam ten błąd i sytuacja rozwija się mniej więcej tak.

– Miałeś kupić bułek na dwa dni – mówię po powrocie Faceta z zakupów, zaglądając do torby na pieczywo, którą mu wręczyłam i którą oczywiście pomylił z torbą przeznaczoną na jarzyny.

– No popatrz, a ja myślałam, że dwie bułki. – Facet uśmiecha się przepraszająco. – Nic nie szkodzi, ja będę mało jadł – oświadcza promiennie, klepiąc się po brzuchu dla wskazania, że musi schudnąć.

– A mleko? – pytam.

– Nie mamy mleka? – dziwi się. – Wczoraj jeszcze było. Napisa-

łaś mi to na kartce, ale ja myślałem, że to pomyłka.

– A makaron? – pytam.

– Nie mieli – odpowiada, trochę się czerwieniąc. – No... może zapomniałem zapytać.

– A ryż? – pytam. – Miałeś tu jak byk napisane.

– Ojej, nie wiedziałem, że to takie ważne – mówi Facet. – Gdybym wiedział, to na pewno bym kupił.

– Napisałam ci też, żebyś kupił śmietanę – wyliczam.

– Specjalnie nie kupilem, bo śmietana jest niezdrowa. Nigdy pod żadnym pozorem nie kupię śmietany – oświadcza dobitnie.

– Ale zupę ze śmietaną zjesz – konstatuję, bo Facet bardzo lubi tradycyjną kuchnię, a za grzech uważa tylko kupowanie do niej składników.

– Po co kupiłeś masło? – pytam. – Na kartce nie było masła, bo jeszcze mamy w lodówce.

– Nie szkodzi, będziemy mieli dwa – cieszy się Facet.

– Napisałam ci, żebyś kupił dwa słoiczki selera, więc czemu kupiłeś tylko jeden? – ciągnę jeszcze dla porządku, ale czuję, że ogarnia mnie rezygnacja.

– I tak mamy dużo tego wszystkiego, to po co mam kupować dwa? – argumentuje Facet, a ja nie wiem, czy kpi, czy o drogę pyta.

Zamiast korzenia pietruszki kupił natkę (niech będzie, przyda się), zamiast kapusty kiszzonej – główkę świeżej, a w mrożonkach wybrał brukselkę, uznawszy, że to są brokuły. Twierdzi, że i tak to wszystko jedno. Przypominam sobie, że kiedyś wydelegowany po mrożonkę „barszcz ukraiński” kupił mrożone truskawki, bo kolorem wydawały mu się identyczne z barszczem.

– Ale herbatę kupilem – cieszy się Facet. – Nie zapomniałem. No powiedz, że nie jestem taki zły, pochwal mnie – dopomina się.

– Ogólnie rzecz biorąc, jesteś dość pozytywny – mówię przez zęby.

Zbyt skomplikowanym zadaniem dla Faceta jest przyniesienie paru rzeczy z kuchni.

– Kawę i cukier przyniosę, ale o serwetkach na pewno zapomnę
– targuje się. – Mogę zapamiętać najwyżej dwie rzeczy, a najlepiej jedną.

Rzeczywiście, jeśli chodzi o jedną rzecz, to Facet ma świetną pamięć. Kiedyś stał w kolejce do kasy po bilety kolejowe dla nas obojga, ale okazało się, że kupił tylko j e d e n.

– Zapomniałem, że mam kupić dwa – oświadczył zmartwiony i ustawił się jeszcze raz w kolejce, żeby kupić drugi bilet. Pociąg odchodził za pięć minut.

– Ale zdążyliśmy, najważniejsze, że zdążyliśmy! – zdyszany sączył mi radośnie w ucho, kiedy dopadliśmy ruszającego pociągu (na szczęście odjeżdżał z małym opóźnieniem). W pociągu tryumfalnie pokazał mi oba bilety

– Widzisz? Mam dwa!

Muszę pamiętać, żeby Facetowi zgłaszać j e d n ą prośbę lub j e d n o życzenie, a następne życzenia wysławiać dopiero po wykonaniu pierwszego. Na przykład wychodząc z domu, można go poprosić o zapalenie gazu pod garnkiem z kartoflami lub o włączenie piekarnika z kurczakiem. Facet nastawia budzik, a ja umieszczam obok kartkę z przypomnieniem zadania. Załatwienie obu tych spraw we właściwej kolejności wymagałoby dwóch budzików i dwóch pisemnych instrukcji, najlepiej przyklejonych do obu budzików, dzwoniących w odpowiednim odstępie czasu, żeby mu się nie pomyliło.

Najbardziej, ale to zupełnie najbardziej denerwuje mnie u Faceta wyrzucenie z pamięci czegoś, co już wcześniej ustaliliśmy ze szczegółami i o czym już kilkakrotnie mu przypominałam. Facet patrzy na mnie, niby rozumie, kiwa głową albo inaczej wyraża swoją aprobatę, dorzuca nawet parę pozornie sensownych uwag, a potem beztrząsco przepuszcza to wszystko dziurami swej uwagi.

Wygląda to na przykład tak, że w sobotę planujemy niedzielną wycieczkę za miasto, na co się cieszę i do czego się przygotowuję.

W niedzielę rano Facet zapomina o tych planach – i albo pyta mnie zniechęcającym tonem, czy my na pewno musimy jechać na tę wycieczkę, bo jemu się specjalnie nie chce, albo wręcz twierdzi, że planów wycieczki wcale nie było. Ja się obrażam ostentacyjnie i zabieram do całkiem innych spraw, a tymczasem po półgodzinie Facet pojawia się w drzwiach i pyta, czemu właściwie nie jedziemy na tę wycieczkę, bo jemu się przypomniało, że rzeczywiście ustaliliśmy to wcześniej, a on teraz jeszcze nabrał ochoty.

W dawnych czasach, kiedy mieszkaliśmy w dużej stolicy europejskiej, nie raz, nie dwa działo się tak, że zziądani doganialiśmy lokalny pociąg na jednym z mniejszych dworców położonych na wylocie z miasta, wskakując do wagonu w ostatniej chwili. Zawiałowca z czerwoną chorągiewką pobłażliwie śledził nasz żywiołowy bieg, chwilę zwlekał z ostatnim gwizdkiem i dopiero za minutę, dwie dawał sygnał odjazdu. Wagon był pełen rozgadanych ludzi, rozradowanych perspektywą niedzielnego święta. Ach, ach, jakież romantyczne jest to wspomnienie!

– **Ugotowałem obiad – obwieszcza Facet**, kiedy zmęczona wracam do domu późnym popołudniem. (Zdarza się rzadko, ale się zdarza.)

– No, pochwal mnie – zachęca, sadowiać się w jadalnym kąciuku w przyjemnym oczekiwaniu na swoją porcję.

Uwijam się po kuchni, doprawiając przygotowaną przed wyjściem sałatkę, porcjując kurczaka i obierając z grubsza kartofle w mundurkach. Widok mojej osoby, zaafierowanej serwowaniem mu smacznego pożywienia, zalewa Faceta nagłą falą ciepłych uczuć: ostrożnym krokiem zbliża się ku mnie i nagradza czułościami, czyli całusami i głaskaniem po szyję, podczas gdy ja parzę się wodą z kartofli, oblewam tłuszczem z kurczaka i wsypuję do sałatki za dużo soli.

Moja negatywna reakcja na buziaczki i głaskanie podczas operacji z kurczakiem powoduje obrażenie się Faceta (bo przecież on

tak niedwuznacznie daje wyraz swym uczuciom, a ja tego nie doceniam). Nie trwa to jednak długo, bo Facet w końcu łaskawie zgadza się zjeść obiad, a potem nawet zanieś swój talerz do zlewozmywaka, tracąc natychmiast zainteresowanie dla reszty obiadowych rekwizytów.

Szyjką upieczonego kurczaka zajmie się teraz kot, o którego Facet jest potwornie, ale to potwornie zazdrosny... Po pierwsze dlatego, że ja od kota nic nie chcę, żadnego wynoszenia śmieci ani przynoszenia zakupów. Po drugie, że do kota zawsze mówię ładnie i miło, a na Faceta zdarza mi się rozłościć. Po trzecie dlatego, że kota głaszczę po grzbiecie, a grzbiet Faceta, jako w tej chwili niegłaskany, ponosi przy tym niepowetowaną stratę. Wyjaśnienie, że grzbiet Faceta nie jest porośnięty miękkim futerkiem, może tylko pogorszyć sprawę, bo Facet rzekomo czuje się głęboko urażony tym, że wytykam mu jeszcze jakieś mankamenty urody.

Facet umie być strasznym gadułą, bo jak się rozkręci, może rozciągnąć swoją opowieść na całe godziny, zapominając o bożym świecie. Nie należy go zatem prowokować do rozważań, kiedy ma wykonać jakieś konkretne czynności, bo przerwie je w środku i zapomni o nich na amen. Na przykład chce schować do lodówki masło i wędlinę, ale w trakcie przenoszenia coś mu wpada do głowy albo też ja go sprowokuję jakąś nieopatrzna i głośno wyrażoną myślą. Kładzie wtedy masło i wędlinę na najbliższym stoliku, parapecie czy krześle i rezonuje na dany temat, ile mu weny starczy.

W takim wypadku najlepiej go wyręczyć i dokończyć transport żywności do lodówki, bo próby szkolenia Faceta, na przykład delikatne wskazanie, że masło się rozpułynie, a wędlina zzielenieje, okropnie go drażnią, gdyż jego zdaniem świadczą o przedkładaniu jedzenia, czyli rzeczy materialnej i trywialnej, ponad jego światłe myśli.

U Faceta duch z założenia zawsze zwycięża nad materią, choć ja po cichu myślę, że jest akurat odwrotnie, że to Facet zawsze z ma-

terią przegrywa i dlatego jej tak bardzo nie lubi. Ale to odkrycie trzymam przed nim w tajemnicy.

Facet, trzeba przyznać, nieraz spełnia jakieś drobne moje prośby, ale pod warunkiem, że ma na to ochotę i że naprawdę są drobne. Spełnianiem ich popisuje się przede mną i przed sobą samym, więc jest okropnie rozeźlony, jak mu ten popis nie wyjdzie. Onegdaj zjedliśmy śniadanie bez większych starć, więc Facet, pławiąc się w dobrym humorze, sam z siebie zaproponował, że posprząta po śniadaniu.

– Paszтет i masło do lodówki? – upewnił się, a kiedy potaknęłam, cały się rozjaśnił. – Widzisz, nie zapomniałem. Sam wiedziałem, sam... – zachwycił się sobą, wzruszony.

– I jeszcze ser! – dodałam, rzuciwszy okiem na stół.

– Tutaj zmieniaś polecenie, zmieniaś polecenie – rozżalił się Facet. – To niełojalne. W żadnej grze nie wolno zmieniać reguł... Mówiłaś, że masło i wędlinę. O serze nie było mowy!

– Został tylko mały kawałek. Zjedz ten ser do końca, to wszystko będzie w porządku, i wilk syty, i owca cała – zaproponowałam.

– Strasznie już jestem najedzony, a poza tym muszę się odchudzać. – Facet przygląda się swemu wklęsłemu brzuchowi i nadyma się trochę, żeby jego słowa brzmiały dostatecznie prawdziwie, iżby sam też mógł w nie uwierzyć.

Dla udoskonalenie fizycznej kondycji swego organizmu Facet postanowił utrzymywać niską wagę ciała i w związku z tym przestrzega ścisłej diety. Dieta polega na niejedzeniu tortów, ciastek ani innych słodczy oraz wszystkiego, co Facet za słodczy uważa. Nigdy, nigdy, nawet najmniejszego kawałeczka, nawet ulubionego placka z dzieciństwa, nawet pączków cioci, nawet tortu weselnego u przyjaciół nie skosztuje. Odmówi sobie sałatki owocowej z porcją lodów, przygotowanej przez pewną przemiłą koleżankę, do

której Facet bezwiednie czuje miętę przez rumianek, na co patrzę przez palce, bo coś mogłabym zrobić, skoro koleżanka taka miła? Poza tym sałatka jest udekorowana listkami świeżej mięty, którą też czuję, i która bardzo dodaje smaku sałatce, a w dodatku wyczuwam zapach mydła rumiankowego, którego koleżanka używa.

[Mówiąc szczerze, najchętniej wywaliłabym jej na głowę całą sałatkę owocową, najlepiej wymieszaną z rumiankowymi mydlinami.]

– **Nie jem żadnych słodczy, prawda? – upewnia się Facet,** któremu nagły głód ściska żołądek. – No to mogę chociaż trochę dżemu? Mogę? Jeśli nie masz morelowego, to zjem ten truskawkowy, niech będzie.

Właśnie wróciliśmy z imienin Edytki. Było tam pięć sałatek, trzy torty i kurczak w pomarańczach.

– Dlaczegoś nic nie jadł, skoro Edytka tak nas częstowała i namawiała? – pytam retorycznie, bo *post factum*.

– Przecież wiesz, że się odchudzam... – ripostuje oburzony Facet i wyjada cały słoik truskawkowego dżemu, zagryzając bułką, którą łamie i zanurza w masłopodobnym mazidle, podobno bardzo dobrym na serce i cholesterol.

Innym razem wygłodzony Facet, który właśnie bohatersko wyrzekł się połowy obiadu, a zamiast słodkiego deseru zjadł tylko jabłko, krąży po kuchni i powtarza jak mantrę:

– Zjadłbym coś dobrego, zjadłbym coś dobrego... Dżem nie, bo tuczy, kawę już piłem, drugą nie, bo szkodzi – miota się po kuchni, odrzucając moje zastępcze propozycje budyniu lub muesli z jogurtem.

– Już wiem – stuka się w głowę. – Puszczę sobie jakiś koncert symfoniczny! Będę miał strawę duchową!

Facet żąda pochwały po każdej wykonanej czynności, zwłaszcza wtedy, kiedy wyobraził sobie, że dzięki niej zrobił mi przyjemność.

– Wiesz, dlaczego ściąłem trawę w ogródku? – pyta mnie tajemniczo.

– Bo okropnie wyrosła – odpowiadam, choć wiem, że dla Faceta to nie byłby żaden argument.

– Wcale nie – odpowiada zgodnie z moimi przewidywaniami. – Dlatego, że cię kocham!

Uśmiecham się oczywiście, bo nieuśmiechnięcie się byłoby strasznym świństwem i niełojalnością, zgodnie ze wszystkimi małżeńskimi i moralnymi kodeksami. Czuję jednak lekki niepokój, że niechcący stałam się rzeczniczką trawy. Gdyby Facet mnie nie kochał, trawa miałaby w życiu przerąbane, a właściwie nieprzycięte, bo nikt by jej nie przyciął do stosownej wysokości.

W gruncie rzeczy Facet nie lubi tej czynności, podobnie zresztą jak innych manualnych prac. A już, broń Boże, „brudnych prac”, brrr! – otrząsa się z obrzydzeniem. Kiedy jest coś „brudnego” do zrobienia w domu czy w ogródku, Facet nagle przypomina sobie, że nie ma odpowiednich rękawic, bo stare są zniszczone, a nowych zapomniał kupić. Na drugi dzień tryumfalnie wręczam mu rękawice, ale okazuje się, że trzonek w szpadlu się oblużował. Na trzeci dzień leje, więc sprawa zostaje milcząco odsunięta. Czwartego czy piątego dnia Facet mroczy się na mnie, mówiąc: – Zawracasz mi głowę ogródkiem, a czy ty wiesz, ile mam roboty?

Źle będzie, jeśli spróbuję Facetowi narzucić prace wymagające zręczności manualnej. Każde zadanie przekraczające jego szczere ponoć, ale ograniczone chęci wprawia go w irytację. Nie odmawia wprost, ale zabiera się do tych czynności tak, żeby odechciało mi się takich życzeń na przyszłość. Ramy drewnianych okien pomalował w grudki, ściany w zacieki, płot do połowy, a drzewa w ogródku przyciął nietypowo i boleśnie, zarówno dla oczu, jak i dla drzew, a mianowicie niektóre króciutko, a niektóre wcale.

Za to Facet chętnie uszczęśliwia mnie według własnych wyobrażeń.

– Zrobiłem ci herbatę – oświadczam.
– Ale ja nie chcę herbaty, napiłabym się kawy – odpowiadam.
– To ja dla ciebie robię herbatę, tak się przy tym namęczę, a ty jej nie chcesz! – denerwuje się Facet. – A ja myślałem, że zrobię ci przyjemność – dodaje rozżalony.

Na drugi dzień pyta mnie radośnie.
– Chcesz kawy? Właśnie zaparzyłem.
– Wypiłam już trzy, wołałabym herbatę – mówię.
– Ale ty ostatnio chciałaś kawę! – Facet jest oburzony moją nie-
lojalnością. – To ja ci robię kawę, bo ją lubisz, a ty na to odmownie
reagujesz... Ja się staram, pracuję, a ty zawsze chcesz inaczej.

– No dobra, daj tę kawę. Będę jeszcze pisała, może się przyda –
odpowiadam dla świętego spokoju.

– No widzisz, przyda ci się. Cieszysz się, że pamiętałem o tobie?
– Facet jest wyraźnie uradowany.
– Strasznie się cieszę – odpowiadam zrezygnowanie.